

Gdzie szczęście?



ELIZA ORZESZKOWA

Gdzie szczęście?

Piękna, dumna, bogata Cecylja Metella, pragnąc odetchnąć świeżością letniego wieczoru, rozkazała ciemnym Numidom spuścić z ramion pozłożoną lektykę i z niej, na bazaltem usłaną apijską drogę, zstąpiła. Wnet otoczył ją świetny rój przyjaciół i wielbicieli, nic bowiem zaszczytniejszem, ani pożądańszem nie było w ówczesnym Rzymie nad gościnność, przyjaźń, miłość spadkobierczyni imienia i bogactw wielkiego rodu Metellów. Niewiele też tam ujrzyć można było zjawisk tak wspaniałych, jak opłynięta haftowaną stollą kibić tej kobiety, a tak ponętnych, jak jej oczy, które blaskiem i pięknnością przewyższały drogie kamienie, rozsiane w misternym djademie jej złotych włosów. Zaledwie też wychylając się z purpurowych osłon lektyki otoczyły ją pełne radości i czci powitania.

— Bogini lekką stopą ziemi dotknęła! Szczęśliwa ziemi! Z zapalem i niskim pokłonem wołał podstarzały, lecz wystrojony i z konsularnego rodu pochodzenie swe wywodzący Rutyłjusz Tersus.

Mniej wysoko urodzony, lecz bogatszy i młodszy Pomponjusz ręce na piersi złożył i z miodem w oczach mówił:

— Ilekroć widzę cię, Domina, myśl moja wikła się w zagadnieniu, u której z bogiń najsluszniej zazdrość obudzać możesz: Djanę bowiem wyniosłością postaci przerosłaś, Wenerę przyćmiłaś wdziękami, a Minerwa...

Tu zręczny dworak i ulubieniec panującego Augusta, Popeusz, patetycznemu Pomponjuszowi mowę przerwał.

— Ziemskie nowiny, o dostojna, milszemi Ci może będą nad niebieskie. Wczoraj przy wieczerzy, u stołu Pana Rzymu i świata wiele o twoim nieporównanym dowcipie mówiono, a sam Cezar, — niech wiecznie żyje! tyle wychylił czar wina, ile tve imię liter zawiera...

— Sławne, wielkie, Rzymianom drogie imię! — podchwycił uczony Blandus. — Dalmację i Numidję Rzym twoim przodkom zawdzięcza, a krew ich zmieszała się w twoich żyłach z tą, która ożywiała najdosłojniejszy na ziemi ród Scypjonów.

— Więc z dwu pni tak wspaniałych wyrósł cud świata, — dodał świetny, wesoły Haberjusz, a najmłodszy, nieśmiały, lecz piękny, jak Apollo, Lucjusz Maniljusz wzdychał i, trzymany w dłoni pęk róż obrywając, wonne ich płatki pod stopy jej sypał.

Niby garść djamentów, Metella rozsypała na czcicieli swoich mnóstwo przelotnych, zalotnych uśmiechów i spojrzeń, ale wzrok jej na żadnym z nich nie zatrzymał się z upodobaniem lub przyjaźnią i nie zajaśniało w nim uczucie szczęścia. Owszem, około koralowych ust jej błędziło szyderstwo, gdy, piękną rękę ku zachodniej stronie nieba wyciągając, zawołała:

— Czy ani jednego słowa podziwu i zachwycenia macie, Domini, dla tego cudu natury, który ukazuje się wam w tem świetnie zachodzącem słońcu?

— Gdy na twoje oblicze spoglądam, najjaśniejsza, dla wszystkich świetności nieba i ziemi ślepym się staję, zadeklamował Pomponjusz.

Inni w zmienionych słowach to samo powtórzyli, poczem światowy Haberjusz zapytywał Metellę, czy dobrze czas spędziła na wczorajszej uczcie u konsula Labea, dworak Popeusz przyciszonym głosem uwiadamić ją zaczął o najświeższych plotkach, obiegających dwór i miasto, w czem ze złośliwym dowcipem dopomagał mu podstarzały Tarsus, uczony Blandus błagał ją, aby raczyła zostać patronką świeżo ukończonego przezeń dzieła, a piękny, młodzutki Maniljusz śpiewnym głosem deklamował wiersz, który na cześć jej ułożył.

Tak za powoli i wyniośle postępując, szli ścieśnioną, gwarną, od strojów błyszczącą, od perfum wonną gromadą, lecz ani z ust jej przychylnego słowa, ani z oczu błysku szczęścia wywołać nie mogli. Owszem, im dłużej znajdowała się w ich towarzystwie, tem widoczniejsze fale znudzenia, czy tęsknoty przepływały po jej białem, dumnie wzniesionem czole, tem dalej, głębiej kędyś pod sklepienie przedwiecznego nieba, ku skrajom równiny, świętymi gajami usianej, sięgał wzrok jej burzliwy i smutny. Nagle, iść nie przestając, mówić zaczęła:

— Daleko więcej niż wysławianiem zalet moich, którego słucham odkąd żyję, ucieszylibyście mię, Domini, gdybyście rozwiązać chcieli zagadkę, która w tej chwili myśl moją udręcza.

Gdy zaś jednogłośnie i żarliwie ją błagali, aby imconajprędzej tej sposobności przydobania się jej udzieliła, rzuciła krótkie pytanie: — Gdzie szczęście?

Natychmiast z ust ich sypnęły się odpowiedzi.

— W możności oglądania cię, najpiękniejsza!

— W tak wesołem i wszelkich trosk próżnem życiu jak twoje, ulubienico bogów i ludzi!

— W krwi tak dostojnej jak ta, która napelnia szlachetne twe żyły!

— W takiej jak twoja sławie, najpowabniejsza z niewiast rzymskich!

— W takim bogactwie, jak twoje, spadkobierczyni numidyjskiego Metella!

— W miłości twojej, o boska!

Odpowiedzi tych wysłuchawszy, po raz pierwszy stanęła i, twarzą ku nim obrócona, z uśmiechami, które jak wyostrzone sztylety po całej jej twarzy drgały i migotały, zawołała:

— Jutro... albo nie, na wszystkich bogów! dziś jeszcze przywołam jednego z najuczestniejszych prawników rzymskich i u dołu testamentu mojego napisać każę rozkaz, aby, gdy umrę tu, na tem miejscu, zbudowano dla mnie grobowiec, którego kształtu nie oznaczę, — niech sobie nad nim architekci głowy łamią! lecz żądać będę, aby u szczytu otaczały go wyobrażenia głów oślich, albo wołowych...

Słowy temi głęboko zasmuciwszy swoich czcicieli, lecz nie zdolawszy ich obrazić, — bo któż mógłby się gniewać na taką jak ona ziemską boginię! Metella ku jednemu z rozsiansych po równinie świętych gajów rękę wyciągnęła i znacznie weselej zapytała:

— Co tam pod temi starymi dębami tak wesołego i uroczystego się dzieje? Słyszę gwar wołań i pieśni, widzę wystrojony tłum niewiast i dzieci.

Jeden z czcicieli jej lekceważąco pochwycił:

— Jest to zapewne motłoch, który obchodzi święto jednego z gminnych bóstw swoich.

— Pójdę tam! — zawołała Metella. — Może pośród motłochu znajdę nad czem zapłakać, lub z czego się uśmieć, bo oddawna już tylko jawnie lub skrycie — poziewam!

Kaprys jej był dla nich rozkazem! więc ze staranną utajoną niechęcią opuścili szeroką, a o tej porze przez świetne towarzystwo napelnioną drogę i szli za nią ścieżkami, które wśród pola wiodły ku wskazanemu przez nią miejscu. U końca orszaku, wysoko nad kwitnącymi kaktusami i plotkami ze strzyżonych bukszpanów i mirtów, sunęła poślaczana lektyka, przez kilku ciemnych Numidów niesiona.

Wśród licznych, czci bóstw różnego rzędu poświęconych gajów, które olbrzymi Rzym otaczały, ten do najmniejszych i do najmniej ozdobnych należał. Nie było w nim tak jak w innych, rozległych i tajemniczych głębi, drogocennych portyków i świątyń, ani tłumy posągów mistrzowskimi dłońmi rzeźbionych, ani lanów najrzadszych i wonią upajających roślin. Nic, tylko kilka dębów odwiecznych, tak może jak Rzym starych, a połączonemi konarami swemi tworzących głębokie sklepienie, pod którym na piedestale, grubo z prostego kamienia wyciosanym, wznosił się jeden tylko, może jak te dęby stary, grubo przez twarde snąć ręce wykuty posąg niewiasty. Żadnych kunsztów i ozdób, tylko źródelko, które z miękkiej murawy tryskające srebrnym promykiem wilo się u potężnych pni dębów; żadnych bogactw, tylko nieustannie zmieniające się i ruchome, to ku polu i miastu odpływające, to przybywające od nich gromady ludzi świątecznie, ale prostacko ubranych z rozmodlonemi i zachwyceniem zdjętymi, lecz prostaczemi twarzami. Były to tłumy prostaków, których jakieś uroczyste i do głębi ich wzruszające święto od powszednich, ciężkich prac i trosk oderwało. Proste także, tanie, ubogie przynosili tu oni ofiary: wieńce z leśnych i polnych kwiatów, kosze, napelnione wonnym rozmarynem,

placki owsiane, dzbany z mlekiem i płynnym miodem. Z wieńców wznosząc dokoła posągu barwne, trawami rozczochrane, dziką wonią buchające wzgórza, a pod stopy mu sypiąc gałązki rozmarynu i z czar glinianych białe lub złote płyny rozlewając, starcy, mężowie, młodzieńcy, niewiasty, ogromnym chórem, z którego wydobywały się i śpiewnem zawodzeniem szeroko rozbrzmiewały najgoręcej zachwycone i rozmodlone głosy, wołali:

— Anno Perenno! Anno Perenno! Miłośnico biednego ludu, matko karmicielko, bądź błogosławiona! Anno Perenno, z sercem niewieściami, a rozumem męża, ze słodyczą gołębic, z lwią odwagą, z czynnymi dłońmi, ze stopą chyżą, ze skromnymi ustami, z ognistą mową, bądź błogosławiona! Anno Perenno, niewiasto nad niewiastami, przez którą dobrodziejstw życia używamy, bądź błogosławiona!

I ciągle, jak strofa nieustannego hymnu, jak hasłonomiętnej chwalby, to imię niewieście i gminne rozbrzmiewało pośród odwiecznych dębów i mnóstwem ech rozbiegało po polach. Nigdy żadne bóstwo nie było głośniejsze, rzewniejsze, triumfalniej czczone nad tę śmiertelniczkę, której pamięć dziś te prostacze tłumy obchodziły. Tuż, tuż prawie u stóp wyniosłych, wyrzeźbionych, w marmur i złoto ustrojonych pałaców, w których słyndła i królowała Cecylja Metella, obchodziły one z miłością, wdzięcznością i czcią pamięć i chwałę Anny Perenny.

Starca, na uboczu nieco, u stóp dębu stojącego z zadumy wyrwało pytanie, wymówione głosem wyniosłym i do rozkazywania nawykłym.

— Kimże była ta jakaś, której nieznane nikomu imię tak wychwalacie? Z jakiego rodu pochodziła? Co zasługującego na nieśmiertelną chwałę uczynić mogła?

Starzec podniósł powieki i ujrzał przed sobą niewiastę, bardziej do rozgniewanej bogini, aniżeli do śmiertelniczki podobną. Namiętna chwalba, oddawana innej niż ona kobiecie, gniewała Cecylję Metellę; szczere, rzewne, głębokie uczucia, którymi dla tej nieznanej przejęty był ten motloch, budziły w niej niepojęte, lecz dotkliwe żale. To też dumne jej nozdrza rozdymały się gwałtownie, z oczu wybuchał płomień, a drogie kamienie nad wysoko podniesionym czołem i barwne hafty, owijające królewską kibić, drżały, migotały, płonęły w smudze słonecznego światła, wśród której przed starcem stały. Ale on trwogi ani zdziwienia nie uczuł. Zatrudnieniem jego było wyładowywanie statków Tybrem od morza przybywających i roznoszenie towarów do bogatych sklepów stolicy, znał więc dobrze jej mieszkańców, a teraz, z uprzejmem skinieniem głowy, odpowiedział:

— Bądź pozdrowiona, najjaśniejsza; poznaję cię, jesteś córką numidyjskiego Metella, najbogatszą panią w Rzymie. Jacyż bogowie przywiedli cię w to miejsce tylko przez biedny lud nawiedzane? Nie wiesz kim była Anna Perenna i czym sobie zdobyła nieśmiertelną chwałę? Nie dziw! Na nieścignionych okiem wyżynach zasiały córki konsularnych rodów rzymskich i żaden bóg nie wykresał jeszcze takiego promienia, po którymby ich dusze spuszczały się ku nam. I teraz także nie pojmuję, po coś tu przyszła i dlaczego mię zapytujesz o to, co nie obchodzi cię wcale. Historia długą jest i nim ją opowiem, może wspaniała jaka biesiada bez ciebie, clarissima, smutnie wlec się będzie, jak dzień bez słońca!

— To nic, opowiedz ją! Zuchwały jesteś i innym razem skarciłabym cię srogo! Teraz jednak, mów — rozkazuję!

Z cienia dębowych splotów, w którym widać było krzepką postać i młeczne włosy starca, zaszemrał cichy śmiech, któremu towarzyszyły słowa:

— O, najjaśniejsza, jakżeś ty do Anny Perenny niepodobna, jak niepodobna! Zabawi cię jej historia najpewniej, bo ciekawą jest zawsze rzeczą dowiadywać się o czemś tak do nas niepodobnym, jak ty, najjaśniejsza, do Anny Perenny niepodobną jesteś... Jakby ją i ciebie, najjaśniejsza, wcale inni bogowie stwarzali... jakby jej dusza i twoja, niby dwa dzbany różnej wartości i formy, wcale innym winem życia napełnionymi były... Ale już dobrze! dobrze! Mówić będę, skoro mi rozkazujesz... i dczegóżbym nie miał, na Kastora i Polluxa! córce konsularnego rodu tej drobnej oddać przysługi?

Szerokie plecy nieco przygarbił, obie ręce, które od pracy przybrały pozór ciemnych i powęzłonych gałęzi, na grubym kiju oparł i mówić zaczął:

— Dawno to było, daleko dawniej, niżeli początkiem swoim sięga ród Metellów. Na ubogi lud rzymski zemsta Jowisza wypuściła hyenę głodu. Za co Jowisz mścił się na ubogim ludzie? Czy za jego pokorę i poniżenie? Czy za te gorące strugi potu, którymi on rolę niewdzięczną oblewał? Za twardość rąk spracowanych, czy za serce wiecznych łez pełne? Nikt odgadnąć nie mógł, lecz wszyscy czuli, że cierpią i giną. Darmo, o konsularna có-

ro, malowałbym przed tobą męczarnie głodu; nie zrozumiałabyś nawet najslabszego ich początku, ty, która czujesz się pokrzywdzoną, kiedy ci kuchmistrz poda za mało tłuste pawiatko, albo barwę nie dość obficie aleksandryjskim sosem oblaną. Oni łaknęli żytnich i owsianych placków tak, jak ty łaknąć możesz chyba nektaru bogów, bo wszystkie ziemskie nektary pijesz tak długo i ciągle, że z mdłością na podniebieniu zapytujesz dna swojej czary: gdzie szczęście!...

Kobieta, do ziemskiej bogini podobna, która teraz w białych i djamentami błyszczących palcach szarpała i gniotła bogate wisioły opasującej ją wstęgi, zawołała:

— Ostrą jest mowa twoja, starcze, lecz mądrą. Codziennie wschodzące słońce to zapytanie na dzień mej duszy oświeca i przy biesiadnych lampach zgłoski jegonie gasną, lecz, owszem, srożej pała... Mów dalej, mów dalej! Ostrą jest mowa twoja, lecz mądrą!

— Dawno to było, daleko dawniej, niżeli początkiem swoim sięga ród Metellów, ale istniały już i podówczas podobne temu z potęgi i bogactw rody. Te nie cierpiały głodu, bo dla nich codziennie z Sycylii, z Afryki, z wysp greckich i wybrzeży Azji przybywały okręty przysmakami naładowane i nigdy pomiędzy nimi nie panowała tak, jak właśnie wtedy, szczerza i huczna wesołość. Stara kronika przekazała nam wiadomość o Saturnaljach, które odbyły się w owej porze z niesłychaną przedtem wspaniałością biesiad i strojów. Na Janikulu, Suburze, nadtybrzańskich przedmieściach, ludzie jak sine mary chwiali się, mdleli, ginęli... Uczta, którą Kwinkcjusz Walerjusz uświetnił zaślubiny swoje, kosztowała 50. 000 sestercji, a podawano na niej sto dań najrozmaitszych i tyleż gatunków wina. Na Janikulu, Suburze, nadtybrzańskich przedmieściach, ludzie jak sine mary chwiali się, mdleli, ginęli. Klaudja Flawja, Pomponja Atia i inne sprowadzały sobie z Miletu suknie, perły z Koryntu. Na Janikulu, Suburze, nadtybrzańskich przedmieściach, ludzie jak sine mary chwiali się, mdleli, ginęli. W paletyńskim teatrze grał najślynniejszy cytrzysta, a upojeni grą jego słuchacze cytrę mu opasali djamentowym sznurem i w gardło tyle najdroższego z greckich win włąli, aż biedak upił się i długo potem grać nie mógł. U góry Saturnalje huczały, tańczyły, piły; u dołu, w jednej z chat nadtybrzańskich, Anna Perenna rankiem ze snu wieszczego powstała i rzekła: »Skoromtakiego snu była godna, więc w rzeczywistość go zmienię«. Śniło się jej, że od hyeny głodu obroniła lud...

— Kim ona była, starcze; mów prędzej, kim była?

— Niczem wielkiem, clarissima, niczem wielkiem... ot, niech mi wspaniałe uszy twe przebaczą, piekarką ona była, przez całe życie owsiany i żytni chleb piekła, dlatego miała zapasy mąki... Więc drew uzbierała, płomień rozniecila, wody przyniosła i chleb miesić i piec zaczęła, a co upiekła, to wnet chyża jak sarna pomiędzy głodnych rozniosła. Spieszyła, spieszyła! Pot oblewał jej czoło i ból dolegliwy zmęczone członki przejmował, lecz ona nie spoczywała, snem zajęczym usypiając wtedy, gdy w czarnym płaszczu nocy ponikły sine mary, ze świtem dnia wstawiała i znów drzewka nosiła, ogień nieciła, miesiła, piekła... Aż dnia pewnego w dłonie z rozpaczą klasnęła... pod cienką warstwą mąki ujrzała twarde, drewniane dno swoich beczek. Czy ona nadal tem twardem drewnem głodnych karmić będzie? Czy wieszczy sen jej przerwie się w połowie — niedokończony? Nie; płomieniem z chaty swojej wybiegła i widziano ją, jak boskim wichrem unoszona, wdzierała się na Palatyn, z portyku do portyku, z pałacu do pałacu, lecąc wszędzie, gdziekolwiek togi purpurą lub stolle złotem świecące spostrzegła, swoje zczerniałe ręce i swój piekarski fartuch nastawiając. Tam jedni na jej widok ze śmiechu za boki się brali, inni na służgi swoje krzyczeli »wygnać tę wściekłą oślicę! « niektórzy, zdala już ją ujrawszy, krzywili się, jak po hańsacie octu, lecz byli też tacy, którzy pozwalali, aby ze śmietnisk szczątki ich uczt zbierała, a Kwinkcjusz Walerjusz, mowy jej wysłuchawszy, w głębokim zamyśleniu tyle garści mąki dać jej rozkazał, ile dań było na jego weselnej uczcie i Klaudja Flawja ze swego sznura korynckich pereł jedną w jej fartuch rzuciła. Nie wiem, co tam więcej czyniła Anna Perenna na tych wspaniałych wzgórzach, co się z nią działo i jakie cuda czy czary sprawiała, stara kronika prawi tylko, że plecy miała od razów służalców sine i na wsze strony poranioną duszę, lecz ręce i fartuch pełne. Snem zajęczym usnąwszy, ze świtem wstawiała znowu, drzewka nosiła, płomień nieciła, miesiła, piekła, a co upiekła, to chyžo, jak sarna, pomiędzy głodnych roznosiła, aż różowe strumienie z rąk jej spłynęły w poblądle żyły mężów i niewiast i drobne dziatki, jak w skwarze zwiędłe kwiaty, odkwitły. Tak trwało długo. Nakoniec z wysokich niebios spłynęła jasna, dobra, urodzajna wiosna i Jo-

wisz na jej cuglach ściągnął ze świata hyenę głodu. Nie Jowiszowi jednak pierwszemu lud składał dziękczynne ofiary, lecz wielkim tłumem chatę piekarni otoczył. „Anno Perenno! — wołano do niej zewsząd — miłośnico biednego ludu, matko karmicielko, bądź błogosławiona! Anno Perenno, z sercem niewieścim, a rozumem męża, z czynnymi dłońmi i chyżą stopą, ze skromnymi usty, a ognistą mową, Anno Perenno, przez którą dobrodziejstw życia używamy, bądź błogosławiona!” Ale ona przed lud, który ją tak wysławiał, wyszła znużona i cicha: „Sługą waszą jestem, — rzekła, — i czyniłam to, co wieszczy sen mój czynić mi rozkazał. Teraz chętnie z tej ziemi zstąpię, bo u wierchołku jej szczęścia już byłam i nic lepszego nad to, com zaznała, osiąść nie mogę”. Pomiędzy te dęby poszła i, w cieniu ich spoczawszy, w boskim zachwyceniu rozstała się z życiem. Wdzięczny zaś lud na tem miejscu posąg jej wzniosłszy, od niepamiętnych czasów i niezliczonych pokoleń, jeden dzień w roku pamięci jej poświęca.

W głębokim cieniu dębów głos prawie niewidzialnego już opowiadacza umilkł. Zmrok wieczoru pogasił blaski okrywających Cecylję Metellę drogich kamieni i haftów, lecz cóż sprawiło, że czoło jej pochyliło się nisko, ręce bezwładnie opadły i cała królewska postać — zmaląła?

W głębokim cieniu dębów przyciszony głos starca ozwał się jeszcze:

— Nie znałaś dziejów tych, clarissima? na bogów! skądżebyś znać je miała! Kronika, która ją przechowała, to pamięć ludu, a miłość, w której Anna Perenna spłonęła, to dusza świata. Ale konsularne córki nasze kroniki tej nie czytają i duszy tej w piersiach nie noszą. Może dlatego bogom tylko ich ambrozji zazdrościć mogą, w dno czary swojej wpatrzone, czytają na niem pytanie: gdzie szczęście?

Ona jeszcze nie mówiła nic; zapewne w czarę swojego życia wpatrzona, milczała. Potem szybko podniosła głowę i, wyprostowana, drżąca, do burzy podobna, zawołała:

— Numidzi moi!

Wtedy też wierni czciciele otoczyli ją znowu strojnem i gwarnem, kornem i żartobliwym kołem. Lecz ona z brwią zmarszczoną i z pobladłym czołem pomiędzy nimi przeszła i wśród purpurowych osłon lektyki z przed oczu ich zniknęła.

Na ciemnych ramionach numidów niesiona, nad łanami kwitnących kaktusów i niskimi płotkami bukszpanu, mrocznym powietrzem sunęła lektyka. Wierni czciciele zbliżka otaczać jej nie przestali, zasmuceni zniknięciem, pocieszający się nadzieją ujżenia jeszcze ziemskiej bogini. Najśmielszy i najrychlej zniecierpliwiony Popeusz, giętkim ruchem dworaka franki nieco uchyliwszy, wzrok ciekawy do wnętrza lektyki zapuścił, a gdy go znowu ku towarzyszom zwrócił, na twarzy jego malowało się zdziwienie bez granic. Co on ujrzal! bogowie, co on ujrzal! Toż to ciekawa wiadomość, którą dziś jeszcze po wszystkich pałacach rozniesie! Z djamentami, jak marny piasek rozsypański u stóp, ze starganymi włosy i twarzą w dłoniach, piękna, bogata, dumna, uwielbiana Cecylja Metella — płakała.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/gdzie-szczescie>

Tekst opracowany na podstawie: Eliza Orzeszkowa, Ostatnie nowele, nakład Gebethnera i Wolffa, Warszawa 1921.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonała Paulina Choromańska, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikiźródła. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

ISBN 978-83-288-0616-0

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przeznacz 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przeznacz darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.